



## Justyna Melonowska

Doktor filozofii. Adiunkt w Instytucie Filozofii i Socjologii Akademii Pedagogiki Specjalnej im. Marii Grzegorzewskiej w Warszawie. Autorka książek i artykułów naukowych, m.in. *Osob(n)ja: kobieta a personalizizm Karola Wojtyły – Jana Pawła II. Doktryna i rewizja* (Difin, 2016), *Ordo amoris, amor ordinis. Emancypacja w konserwatywnym* (APS, 2018), *Pisma machabejskie. Religia i walka* (Fundacja im. Augusta hr. Cieszkowskiego, 2020), *Pisma jakubowe. Religia i walka* (Fundacja im. Augusta hr. Cieszkowskiego, 2023). Jej zainteresowania badawcze dotyczą hermeneutyki, rozumienia ortodoksji religijnej, estetyki liturgii oraz związku religii i walki. Uczestniczka licznych debat publicznych. W TVP Kultura prowadziła magazyn filozoficzno-literacki „Do dzieła!” i współprowadziła audycję kulturalną „Tego się nie wytnie”. Jest członkiem jury Nagrody Identitas, współautorką tomiku *Bo oto nadeszła już zima. Głosy z wyspy Ułoya* (Pewne Wydawnictwo, 2024).

# Córka Ewy

Siedzimy na tych prostych krzesłach, których siedziska i oparcia z biegiem lat jakby opłotły nasze sylwetki, katusze niewygodny zamieniając w ulgę przyzwyczajenia. Patrząc na ciebie. Wiem, że niedługo prawą dłonią pomaszujesz sobie lewy bark, niemal kładąc przy tym policzek na ramieniu. Jesteś niewymownie znużona, ale zarazem czujna. Najczulsniejsza z matek, które kiedykolwiek żyły na ziemi. Dostrzeżesz więc bez wysiłku moje spojrzenie, lecz ono cię nie zatrzyma. Twój wzrok przeniknie moją postać szybko i życzliwie, poprosisz, żebym wymieniła ci wątek i zaczniemy tkąć, jak co wieczór. Ty – igłą, ja – na krośnie. Będę tkala gobelin – ciężką i bezkresną zasłonę praw, za którymi skrywa się On – najzupełniej Inny, najzupełniej Święty. Ludzie będą „odkrywać prawa natury”, jak to ujmują, i w ten sposób unosić powoli, mozolnie ciężką materię – której zresztą mogą tkąć kolejne kupony – zbliżając dzięki temu swe twarze ku Jego obliczu, choć nie ma On oblicza. Tobie zaś zakazano wszystkiego co potężne, władcze i ogólne, tobie powierzono szczegóły.

Dawniej – onego czasu – powiedział ci: „Obarczę cię niezmiernie wielkim trudem twej brzemienności, w bólu będziesz rodziła dzieci”. I oto rodzisz w bólu, bezustannie brzemienność. Każdego wieczora tkasz losy ludzkie z nieograniczonej długości nici – pętelkę za pętelką, pętelkę za pętelką, a efektem jest gładka, ściśle otulająca żyjącego tkanina, będąca w istocie supłem na suple. Nazywają ją losem. Pochylona nad igłą – nie bez powodu nigdy nie stworzono bardziej pracochłonnej techniki tkackiej – błogosławisz całą swą progeniturze. Jesteś przecież Ewą, matką wszystkich żyjących. Nazywają cię jednak też Mojra, Adrastea, Ananke... Tyle imion, a wszystkie piękne! Ja tym

czasem nie mam żadnego prócz tego, które wskazuje na ciebie: „córka Ewy”. U twych stóp, ciche jak myszki, siadają moje małe siostrzyczki, gdy już skończą się bawić przy ogniu. Małeńka Kloto, która przedzie i podaje ci nić, Lachesis o pulchnych policzkach, nosząca przy pasku kluczyk do skrzyni z nićmi i przygarbiona Atropos z nożyczkami, która tnie nici i kanwy tam, gdzie ty każesz. Tak oto siadamy każdego wieczora – ty i ja, niestrudzone jak Penelopa. Podobnie jak ona jesteś wytrwała i oczekująca, lecz – inaczej niż ona – okazałaś się niewierna; w pewien sposób niewierna pozostałaś do dziś i tak będzie po kres czasu.

Ja zaś, cóż ja... Dumna dziewczyna bez imienia, mistrzyni tkactwa, niezauważenie dla nikogo wplatająca w kotarę świata opowieść o Nim, o demonach, o swej własnej matce, o ojcu, o onym czasie, o onym miejscu, o wszystkich czasach, o wszystkich miejscach. Tak, wielka konspiratorka, pajęczycia mitu nasłuchująca nie odgłosów zza drzwi, jak ty to czynisz, lecz najdelikatniejszych nawet poruszeń i drgnień sieci. Kotara wszechświata jest pajęczyną, którą tkam u twego boku i pod twym okiem, lecz jesteś zbyt zajęta snuciem poszczególnych żywotów i szeptaniem błogosławieństw nad każdą zrodzoną przez siebie, a to znaczy utkaną, istotą. Rzeczywiście też utkałaś ich tak cudownie; godne podziwu są twoje dzieła, matko. Dobrze znasz ich dusze, nie tajna ci ich istota, kiedy w ukryciu powstają, utkani w głębi ziemi. Oczy twe widzą ich czyny i wszystkie spisujesz w swej księdze. Mojro, Adrasteo, Ewo, nikt już nie myśli o tobie jak o pięknej kobiecie i oblubienicy. Oto twe imię właściwe, twa istota, nić twego losu utkana w głębi ogrodu: matka. Twoje krzesło stoi tyłem do drzwi, tych zawsze zamkniętych. Siedzisz więc tyłem, lecz bliżej. Ja przodem, lecz dalej.



Ilustracja: Lucas Cranach starszy, *Ewa* (fragment), wikimedia.org

Która z nas jest w lepszym położeniu, matko? I dlaczego te drzwi są zamknięte? Dostrzegłam kiedyś cień pytania w twoim spojrzeniu na mnie. Nie masz pewności, ile wiem o tym, co się zdarzyło. Ja – tkaczka gobelinu, dziewczyna o zwinnych palcach i masywnych kolanach, wiecznie przygniecionych ciemną tkaniną nieba. Gdy odpowiedziałam ci spojrzeniem, odwróciłaś wzrok, a twoje policzki spłonęły rumieńcem. Widziałam cię taką jeden, jedyne raz. Raz jeden ukazałaś mi się jako kobieta, nie jako matka wszystkich żyjących.

Drzwi, jak drzwi. Dość niepozorne, jakby całkiem przynależały naszemu domowi i naszej kobiecej izbie. Cudowne prawa harem sprawiają, że tylko kobiety i ojciec mogą tu przebywać, synów i braci spotykamy gdzie indziej. Drzwi te zamknęły się onego czasu za tobą i za ojcem niczym wieko trumny, którym też istotnie są. Weszła przez nie na świat śmierć. Za drzwiami

zatem jest, za drzwiami być musi... życie. Jakieś inne. Nie przedśmiertne, lecz nieśmiertne. Ale tego nawet ja nie mogę dostrzec, nie mogę upleść. Widzę wszystko, co jest historią i prawem; widzę więc początek zwany stworzeniem; widzę ogród taki, jakim był wówczas, gdyż był on historią; widzę miarę, liczbę i wagę, które przenikają wszystko i widzę, tak, widzę, co uczyniłaś. Widzę wszystko do chwili zatrzasknięcia drzwi za tobą i ojcem. Koniec historii. I oto wszystko staje się inne, nastaje świat zwany ziemią, w którym czas i przestrzeń poddane są mej pieczy, choć nie memu ustanowieniu. Tak, przedę kotarę praw według miary, liczby i wagi. Tak, zdobię kotarę praw wzorami miary, liczby i wagi. Zostawiam ślad, ślad dla twych synów i córek, mych braci i siostr...

\*

Piękna jesteś, matko moja, jakże piękna! Widzę twą postać pochyloną

nad igłą, tamborek wychyla się z sukien spływających ci z kolan, niemal z niego nie korzystasz, a jednak upierasz się mieć go przy sobie, to prezent od Abła. Wciąż jesteś gibka i o kształtach zgrabnych, zarazem wysmukłych i pełnych. O takich kobietach mówią *ce qu'il faut là où il faut*. Nie ma w tych liniach jednak przesady. W ogóle przesada jest ci obca... Nieobca jest ci tylko obcość. Pośród nas obcość twoja... Pośród nas obcość twoja jest jak znamię, jak mara pamięci. Jesteś matką stanowczą, obowiązkową i życzliwą, w gruncie rzeczy niczego nie można ci zarzucić, a jednak tak trudno cię kochać. Nie należysz do naszego domostwa, choć jesteś jego cichą królową. Wystarczy rzucić na ciebie okiem, by pojąć, że twoje królestwo nie z tego jest świata. Nie w naszej chacie miałaś panować, nie tu miałaś się znaleźć – korona stworzenia, ostatnie dzieło Jego rąk, stworzona, nie zrodzona. Nie my też jesteśmy twoją miłością. Bo miłym twym nie był nawet twój mąż. Nie za nim biegałaś po ogrodzie jak w gorączce. To nie na jego widok jaśniałaś. A jednak czasem skóra twojej twarzy promieniowała tak, że Adam bał się zbliżyć do ciebie. Po wiekach cień tego jaśnienia znalazł się na twarzy Mojżeszowej, tak że Aron i Izraelici nie podeszli do niego. Bo was dwoje, ty i Mojżesz, widziało Chwałę. Ty żyłaś w Chwale jak dziecko w łonie. Był to ogród nad ogrody, nie ma już takich. A mandragory siały woń, prawda, moja matko? Nad drzwiami waszymi wszelki owoc wyborny, świeży i zeszłoroczny dla niego, miłego swego, chowałaś.

Aż zapragnęłaś już nie tylko zbliżyć się do Świętego, ale... związać się z Nim, a właściwie Jego z sobą! Być „jako Bóg”, a to znaczy być z Nim jednym, znieść wszelką różnicę, osiągnąć Go! Takie było twoje pragnienie, ty krucha, szalona istota, ofiaro cichego powiewu, chora z miłości i niezdołna pragnąć tego, którego ci dano i do którego cię przyprowadzono: Adama. Byłaś jego częścią i dzieliłaś z nim istotę, z niego wzięta jako część całości, bardziej misterna niż nasz stary wachlarz z koronki z kości słoniowej... A jed-

nak Adam to było za mało. Odwracałaś wzrok od tego mężczyzny nieskończenie pięknego, lecz niemogącego się równać z Pięknem samym – danym ci jak powiew nikłemu płomieniowi, jak znak, jak pokusa. „I nie wódz nas na pokuszenie” dodano na twoją cześć, moja matko, na wieczną rzecz pamiątkę.

I oto jesteśmy teraz. Tu. W świętym języku liturgii powtarzają „onego czasu” – *in illo tempore, wo wremia ono*, lecz przecież to my jesteśmy *illo tempore* czasu świętego. Nie mówi zaś nic liturgia o *illo loco* – onym miejscu innym niż ogród, innym niż ziemia, które tylko my znamy. Tak, ziemia jest *illo loco* miejsca świętego, choć żyjący niestrudzenie pytają: „Czy jest jakiś inny świat?”, niezdolni pojąc, że to oni w nim żyją. To oni zostali wypędzeni. My zostaliśmy wypędzeni. Wy... ty i ojciec. On jakby był częścią ciebie, jakby powstał z twego żebra.

Korzystamy z przywileju Ewy, wolno nam żyć w miejscu, które nie jest ani miejscem świętym, ani ziemią wypędzenia, lecz czymś trzecim, czymś innym od miejsc innych. My, to znaczy ojciec i ty – matka, Kain – pierworodny, Abel – syn wasz delikatny jak mgła, Set – podobny do ojca „jako obraz” oraz my, bezimienne wasze dzieci, pośród nich wasze córki, pośród nich zaś... ja. Córka Ewy. Bez imienia. Bez konstytucji, bez cechy, nie całkiem starta w pamięci plama, zarazem objęta i zdmuchnięta jednym wersem Genesis, który będzie podyktowany natchnionemu autorowi za wiele wieków. Więc oto jestem – poza czasem, z tobą, rozcierając lewe ramię. Wzrok masz dziś nieco rozbiegany. Twoja głowa co i rusz mimowolnie obraca się, jakbyś nasłuchiwała odgłosów zza drzwi. Wyglądasz, jakby one były słońcem, ku któremu wystawiasz twarz, szukając ciepłych promieni. Lecz... nie, żadnych odgłosów i żadnego ciepła. Ani teraz, ani kiedy indziej, w ogóle nigdy. Tylko drzwi zamknięte między miejscami.

Nie patrzymy tu na siebie zbyt często, bo i po co patrzeć na te twarze wokół, gdy najdalszym krewnym jest ▶

krewny najbliższy, a krewny najbliższy krewnym najdalszym? Oto rodzina. Za wiele wieków nastąpi cudowna substytucja i w nasze miejsce pojawi się Rodzina Święta, a ty na widok dziecięcia zanieśiesz się łzami, których nam szczydziłaś nawet, gdy życie któregoś z nas było w niebezpieczeństwie. Jednocześnie przecież muszę powiedzieć, że wiele wieków temu nastąpiła cudowna substytucja i w nasze miejsce pojawiła się Rodzina Święta, a ty na widok dziecięcia zanieśłaś się łzami, których nam szczydziłaś nawet, gdy życie któregoś z nas było w niebezpieczeństwie. W dniu jego narodzin powiedziałaś do nas: „Wydźcie, me córki jerozolimskie, spójrzcie, córki Syjonu, na króla w koronie, którą ukoronowała go wasza matka w dniu jego narodzin, w dniu radości jej serca”. Nigdy nie byliśmy tak blisko historii, zresztą owo dziecko, brat nasz i niebrat, jeden z nas i sam Inny, otóż on zrodził się ze względu na ciebie, by ciebie podnieść, a z tobą twoją progeniturę. Oto najtrudniejsza rzecz, jaką dane mi było utkać: pętla przedwieczności z czasem oraz własne me przypisanie do ciebie.

\*  
Wyglądasz na znużoną, choć wiem, że nie zwolnisz swego tkania. Prosisz: „Posil mnie plackami z rodzynek, moja córko, wzmocnij mnie jabłkami”. Nie powiesz jednak, z powodu jakiej choroby słabniesz. Ale ja wiem – wciąż jesteś chora z miłości. Odłożę na chwilę kotarę i utrę ci rodzynek, a gdy przewracać będę placki na ogniu, twe spojrzenie obejmie mnie ze spokojem, który we mnie ma oparcie. Tak, jestem przy tobie i zawsze będę, oprzyj się na mnie moja matko, cudownie pokalana, zdaj się na mnie w swej chorobie, którą próbujesz tać przede mną, a w której tylko ja mogę cię pielęgnować. Kocham cię miłością bolesną i niewzruszoną. Jestem twoją siłą, opoką, na której zbudowałaś kościół swego domu. Tego właśnie miejsca, które jest zarazem „przed”, „po” i „jeszcze nie”. Oto przedsionek światów, z którego drzwi do historii są wiecznie otwarte, prze-

chodzimy przez nie swobodnie, lecz do nas wejść się nie da. Drzwi za tobą pozostają zamknięte. Przedsionek nasz jest zarazem domem i światem, lampą i słońcem, pokojem i horyzontem, pergaminem i pejzażem, kanapą i puszcza, kotem i małpą. Jedyne, co pragnę wiedzieć i na co czekam, to otwarcie tamtych drzwi za tobą, a przede mną. Prowadzą one do miejsca, którego nie zna żadne z dzieci, lecz które przecież znasz ty i zna jej ojciec. On – jakby pogodzony z nowym losem, rozkochany „po czasie” w pracy rąk, miłujący cicho rolę, pług i ziemne płody. Adam jest człowiekiem skromnym, najskromniejszym z ludzi. Czy kiedykolwiek został ukarany? Zda mi się czasem, że raczej wyzwolony przez mózół. Ta dziwna postać, ten Józef przed Józefem, a to znaczy mężczyzna, którego racją życia jest dźwigać los swej żony, a właściwie brzemie jej wyboru i związaną z jej *fiat* brzemienność. Bo ty przecież powiedziałaś *fiat*, prawda?

**„A wąż był bardziej przebiegły niż wszystkie zwierzęta lądowe, które Pan Bóg stworzył”**

„Niech się stanie według twego słowa” – powiedziałaś, gdy przekonał cię ów mysta, wtajemniczeniec... Uwierzyłaś może, że to pośrednik między tobą a Nim? Tymczasem, nie... To tylko komediant, wspaniały parodysta o intencjach cudownie jasnych i nawet zwracający się ku tobie nie bez pewnej uczciwości: „Będziecie jako...”. Czy nie to powiedział? Lecz następnie padło to dziwne „Elohim”. Padło z czubka rozdwojonego języka, bo język przecież miał już wówczas podzielony, ów mistrz podmiiany, owego *sicut*. Widzę to wyraźnie. Widzę każdy szczegół. Powiedział: „Będziecie jako Elohim” i muszą się, ku mojej ucieście, tłumaczyć trudzić, pocić i znoić. Muszą wybrać, czy powiedział on do ciebie, że się staniecie „jako Bóg”, czy też „jako bogowie”. Ależ i to, i to powiedział! Na tym zresztą polega jego rzemiosło, na wyborze. Dąży, by człowiek się opowiedział jako protagonista lub antagonist, podczas gdy w ogóle nie

należy wybierać. Wybór nie jest konieczny i nawet nie jest możliwy. Słyszysz mnie, matko?

Boże mój, Boże, czemuś go dopuściła!? Tę piękną pokrakę, widowiskową nicość, dążność niespełnioną, wieczne niespocznienie... Czy jawił ci się pięknym? Czy był piękny? Widzę jego tors muskularny i szczupły, jego uda masywne i silne, łagodnie przechodzące w ogon pokryty migotliwą, mieniącą się łuską, jego mocne ramiona pośród gałęzi i barki rozłożyste, kark dość szeroki, lecz co do joty wierny mierze i liczbie... Twarz miał piękną, mądrą, złowrogą, niejasną, ukrytą, niepromienną. Był ciemny. Ciemnej karnacji i łuski, ciemnych włosów i oczu. Zdawało się, że jego źrenice świecą do wewnątrz. Uszami strzygł lekko, jakby w obawie nasłuchując powiewu... A że nie znałaś jeszcze wstydu nagości, to nie musiał się kryć przed tobą z niczym, nie mógł cię bowiem urazić nawet widok jego męskości nabrzmiewającej podczas waszej rozmowy. Jakże był podniecony! Nie, nie tyle twoim widokiem, choć w stopniowym procesie stwarzania świata On uczynił ciebie stopniem najwyższym, a zatem summą piękną. Byłaś nie tyle piękną kobietą, ile pięknym stworzenia. A jednak owego mystę, owego węża tak gibko poruszającego się pośród gałęzi i owoców nęcił nie widok twych piersi i bioder, całej twej nagości... Miał on pragnienia potężniejsze. Potężne jak życie. Oto, czego pragnął: stwarzać. A ty, cóż ty...? Byłaś mu narzędziem: misa twej miednicy, łopata kości biodrowych, gleba brzucha. Byłaś w jego oczach kobietą, lecz nie sobą. Równie dobrze mogłaś być martwa, o ile tylko martwe ciało mogłoby wydać na świat dziecko. Czy owo dziecko w ogóle musiało być żywe? Czy wąż nie mógł spłodzić i zabić? Czy ty nie mogłaś poronić lub spędzić? Widzenie tego, czego nie było, nie jest mi dane. Rozumiem jednak, że chodziło mu o stworzenie życia na ziemi, a zatem musiałaś urodzić. Tak, wejście z łona pod niebo jest ważne. Ostatecznie urodziłaś, on tym samym prokreował.

Gdybyś mogła spojrzeć na świat moimi oczami, gdybyś studiowała mój gobelin – na co jesteś zbyt zajęta tkaniem nici losów – zobaczyłabyś, że od chwili twój *fiat* świat tkany jest na kanwie *sicut*, nic podszycia i podmiiany przelnika wszystko, całą tkaninę i każdy wzór. Nie ma ucieczki przed „jako”. Tak, że twój kochanek, ów niszczyciel życia, jest zarazem jego protagonistą: pragnie potomka i będzie chronił łono. Ten jeden raz, *semel*, kiedy imituje on Stwórcę. Potem, po jego pierworodnym, łono stanie się miejscem przez niego przeklętym, a zatem i wyróżnionym *à rebours*. Inni potomkowie niż jego własny mają zginąć.

Co byś mi odpowiedziała, gdybym dotknęła twej dłoni i pokazała ci ten kwadrat tkaniny? Wiem to, ponieważ świat przechował kartę twej choroby, zapisane są słowa, jakie wypowiadałaś w gorączce: „Zesłałam do ogrodu orzechów, moja córko, by spojrzeć na świeżą zieleń doliny, by zobaczyć, czy rozkwita krzew winny, czy w kwieciu są już granaty. Niespodziewanie znalazłam się...”. I oto cudownie zasupłana, zarazem prosta, gra między wami. *Sicut* – jako... Ty słyszysz *sicut Deus* – „jako Bóg”. On zaś mówi, nie kłamiąc przy tym, *sicut dii* – „jako bogowie”. Kim są bogowie, matko moja? Kim są bogowie? Nie ma bogów oprócz Boga. A zatem kim są *dii*? Są to mali bogowie, droga moja, są to demony. Prawdę ci zatem powiedział: będziesz jako oni, będziesz jako... on! Ty, korona stworzenia, staniesz się tylko jak pośledni demon, osaczona wiedzą niepotrzebną do niczego jakby rzeką wezbraną, aby on mógł stać się *sicut Deus* – „jako Bóg”, składając w glebie twój ciało swe nasienie. Ty – jak on, on – jak On. Ty – upadek, on – podniesienie. Oto cel jego gry, oto jej charakter. *Sicut, sicut*, nie ma od tego ucieczki!

\*  
Murem jesteś zburzonym, a piersi twe są basztami w ruinie, odkąd stałaś się w oczach Jego jako ta, która zasiała niepokój. Zabrakło ci przenikliwości, by to pojąć na czas. Nie wiem zresztą, czy pojęłaś to kiedykolwiek. Zda mi się cza-

sem, iż sądziś po prostu, że coś ci się przytrafiło. Niby dziewczę zaskoczony w lesie przez przypadkowego mężczyznę – ni uwiedziona, ni zgwałcona. Patrząc po wszystkim na zmięte spódnice: „Co to też mi się przytrafiło? Radować się czy płakać?”. Płakać, matko, płakać! Lecz ty, miast stać się płaczką nad światem, powiedziałaś tylko lapidarnie do pierworodnego dziecka: „Pod jabłonią obudziłam się; tam poczęła matka twoja, tam poczęła ta, co cię zrodziła”. Dobrze więc... współżyliście, ty i kusiciel. Dobrze więc... był sprawny. Z pewnością przypominał pod tym względem Kaina bardziej, niż Abla – nazbyt nieśmiałego. Dobrze więc... szczytowałaś, upadając i upadając, szczytowałaś. On zaś, sądzę, oszczędził ci chętnie tej rozkoszy, poprzestając na swojej – cóż, jeśli ostatecznie przyzywająco-rozstępujący krzyk twego ciała ułatwiał dążność nasienia ku otchłani twego łona... Musiał dać ci rozkosz, a patrząc na ciebie wówczas, miał i swoją, w szczycie jak w agonii skierował wzrok wysoko. Widzę tę twarz, ilekroć patrzę na Kaina, choć rzecz ta jest nie pewna i taką pozostanie po kres czasu, sam zaś Kain zdaje się chory z niepewności, zawsze w gorączce, nazbyt porywczy we wszystkim, czego się ima.

Zostaliście wypędzeni – ty i ojciec. Dokąd odszedł twój umiłowany, którego pragnęłaś stać się częścią, moja matko, najpiękniejsza z niewiast? W którą zwrócił się stronę miły twój, byśmy Go wraz z tobą szukały, twoje córki? Może poszukajmy Go w ogrodzie, chodź, rzućmy te nici i tkaniny! To tylko gorzka ironia, słabość, która za chwilę minie. Przecież gdybym zrobiła krok w stronę drzwi, święci cherubowie, których nie mogę widzieć, lecz których istnienie objawia mi się przez miarę, liczbę i wagę, muszą istnieć, podnieśli by na mnie spojrzenie. Drugi krok – napięliby mięśnie, wyprostowali grzbiety. Trzeci – ułożyliby miecze w dłoniach. Czwarły – ostrza znalazłyby się nad ich głowami, w złocie odbijałyby się nasz ruch, kobiet skradających się ku drzwiom. Piąty – ich spojrzenie ogarnęłyby nas współczuciem. Jednak moja dłoń nie zdążyłaby

dotknąć klamki, a już nie miałabym tych zwinnych, spracowanych palców, po chwili zaś moja dusza nie miałaby ciała. Byłaby od niego oddzielona, a wiemy przecież, co to za męka! Byłam martwa już wcześniej, wszyscyśmy byli. I tylko agonia mężczyzny, nad którym zapłakałaś miłośnie i rzewnie, gdy przyszedł na świat, a więc jego męka, przywróciła naszym душom wskrzeszone ciała, gdy zstąpił do otchłani, *descendit ad inferos*.

A choć widzę to wszystko, tkając kotarę, gobelin, zarazem całun wszechświata, to przecież nie mogę, nie mogę być chora z miłości. Jestem od ciebie inna. Skromniejsza, banalniesz, silniejsza, mocarniejsza, lojalniejsza. Mam tylko tę miłość swoją do ciebie i długie godziny w tym krześle. Ciepło ognia, który tu u nas płonie, cichą urodę starych sprzętów, jasne włosy małych siostrzyczek, podających nam nici i nożyczki, ojca, który jest cichy, stały i niewzruszony jak skała, radość i tłok braci – zawsze jednak zatrzymujących się na progu kobiecej izby, mądrość harem. Sama jestem, to nie skarga, dzieckiem wygnania, lecz niepamiętliwym. Dlatego też, choć sama głodna, podaję ci jabłka i placki. Choć zmęczona, czuam nad twym odpoczynkiem. Czuję wyraźnie, że tym silniej istnieję, im bardziej poddaję się twojej historii. „Mitowi”, jak o tobie mówią. Tak, moja matko, z wpływem lat przestaję się wzbraniać przed byciem bezimienną „córka Ewy” i w tym niewzbranianiu znajduję głęboką, rozkoszną wolność. Są to jednak rzeczy, w których jest coś jeszcze poza miarą, liczbą i wagą. Coś nieuchwytnego, jakby babie lato pośród naszych tu nici lnianych i wełnek. Ta ledwo wyczuwalna, lecz lepka nie spowija mi serce i osnuwa je jakby mgłą, ilekroć siadamy do pracy. W cichej nocy, świętej nocy przedziemy losy świata i losy ludzi, łapiąc czasem wzajem swe spojrzenie. Nie musisz się bać mojego. ■

Monolog pochodzi z tomiku *Bo oto minęła już zima. Głosy z wyspy Uløya* (Pewne Wydawnictwo, 2024). Publikacja za zgodą autorki i wydawcy.

Najnowszy numer



Tu nas znajdziesz

Serwis Filozofuj!



Filozofuj @ Facebook



Filozofuj @ Instagram



Filozofuj @ Twitter

